

Jak wysoka może być cena przetrwania?
Czy nawet w piekle można uratować
swoje człowieczeństwo?

Dramatyczne losy młodej kobiety, która, ratując się z koszmaru obozu Auschwitz-Birkenau, decyduje się pracować jako prostytutka w Kommandzie Puff, domu publicznym otwartym w 1943 przez SS w głównym obozie. Jej walka o przetrwanie i chora niebezpieczna miłość oficera SS przeplatają się z opartą na faktach relacją z obozowego życia i funkcjonowania esesmańskiego domu publicznego, nigdy wcześniej nieopisanego w literaturze.

ISBN 978-83-8031-788-8

MBP Cieszanów
Kommando Puff /



Dominik W. Rettinger

kommando
puff

Dominik W. Rettinger

kommando
puff

Świat Książki

9

Nie pamiętam niczego. Jest jasno, leżę twarzą na suchej, spękanej ziemi, czuję żar w całym ciele, usta są wyschnięte, pali pragnienie. Przed oczami widzę czyjeś ramię, skóra pokryta jest czerwonymi, krwawiącymi wrzodami. Odsuwam się, ale ramię posuwa się wraz ze mną, wierzch dłoni też jest owrzodzony.

– Mamo, śmierć się zbliża – mówię szeptem.

Za co się kocha ludzi? To tajemnica. Nie za to, że są dla nas dobrzy. Kochałam ją, choć nie była dobrą matką. Teraz rozumiem, jak bardzo była bezradna i wylękniona. Wierzyła, że kiedy mężczyźni przestaną się nią interesować, wpadnie w otchłań niebytu. Tylko ja mogłam ją zatrzymać na krawędzi, przedłużyć jedyną formę istnienia. Ofiara ze mnie była naturalna, należała się za życie, którym mnie obdarowała. Poza tym byłam młoda, a jej czas rozpaczliwie się kurczył. Wyrzucam sobie, że po powrocie z Anglii nie pojechałam do matki; byłam zawzięta, pielęgnowałam poczucie krzywdy. Teraz tamte myśli i uczucia stają się dziwnymi złudzeniami.

Nie wiem, gdzie jestem, co się ze mną dzieje. Muszę się poruszać, bo przyjdą i mnie zabiją. Nie wiem kto ani za co. Może za męża, który siedzi obok z przekrzywioną głową i poważnie mi się przygląda. Na skroni ma krwawą ranę po uderzeniu młotkiem, podnosi rękę i pokazuje na ranę palcem. Za nim pojawia się śliczna, młoda dziewczyna, ubrana w granatowy kombinezon i w białej chustce na głowie.

Zatrzymuje się i kuca przy mnie, ma łzy w oczach, nie pamiętam jej imienia.

– To ja, Magdalena – mówi. – Nie patrz tak na mnie, jesteśmy przyjaciółkami.

Dobrze, zgadzam się. I tak nie miałabym sił zaprotestować. Ręka dziewczyny unosi moją głowę, do ust wlewa się trochę płynu. Łykam, krztuszę się, znowu łykam. Już wystarczy, układam głowę na ziemi, przymykam oczy. Czyjś ostry głos woła dziewczynę, przez szparę w powiekach widzę, jak odchodzi; lśniące, skórzane buciki i czarne podkolanówki. Czeka na nią niewysoka, krępa kobieta. Znam jej twarz, ale nie przypominę sobie imienia. Zасыpiam.

Słońce boleśnie razi w oczy, chce mi się pić. Wiatr trochę chłodzi ciało. Muszę chodzić, bo mnie zabiją. Wstaję, idę między barakami, w cieniu ścian. Powoli, krok za krokiem zbliżam się do rozpiętych drutów z kolcami. Męski głos woła po niemiecku, jest rozbawiony:

– Gdzie leziesz? Usmażysz się!

Nie widzę wołającego, bo przed oczami mam mgłę. Kiwam głową na znak, że też mnie to bawi. Skręcam, idę wzdłuż drutów. Przypominam sobie, dokąd idę. Do domu, do matki. Poproszę o wybaczenie za to, że ją opuściłam. Z przodu mającą niewyraźne sylwetki, jedna, dwie, trzy. Docieram do nich powoli, krok po kroku, jestem gotowa przywitać się. Sylwetki są dziwne, głowy mają gdzieś wysoko, patrzę na ich brzuchy. Męskie głosy śmieją się, jeden mówi po niemiecku:

– Powiedz dzień dobry, może ci odpowiedzą!

Znowu się śmieją. Posłusznie wyciągam dłoń, dotykam ręki kobiety w pasiastym stroju, ona odsuwa się i lekko kołysze. Podnoszę głowę, spoglądam do góry. Jej szyję ścisną grubo sznur, patrzy na mnie niewidzącym wzrokiem. Dwie kobiety obok też wiszą i patrzą. Rozumiem, co je spotkało, nie uda nam się porozmawiać. Ruszam dalej, w stronę czterech mężczyzn w mundurach, z karabinami

na ramionach. Palą papierosy, przyglądają mi się z uśmiechem; domyślam się, że są żołnierzami.

– Dzień dobry – mówię z trudem po niemiecku, przez wyschnięte gardło.

– Wspaniały dzień – zgadza się pierwszy żołnierz. – Dokąd się pani wybiera, jeśli można zapytać?

Trzej pozostali śmieją się.

– Do domu – mówię i staram się też uśmiechnąć. Jestem jednak za słaba, mięśnie twarzy odmawiają posłuszeństwa.

– Świetnie się składa, zaraz zadzwonię po szofera – ciągnie ten sam żołnierz.

Tamci trzej rechoczą jeszcze głośnie.

– Dziękuję, nie trzeba – odpowiadam uprzejmie. Jestem już blisko bramy.

– Odsuń się, to jest tyfus! – mówi ostrzejszym tonem jeden z nich.

Idę dalej, mijam żołnierzy, oni rozchodzą się na boki.

– Dlaczego pozwalają im łązić po obozie? – rzuca któryś za mną.

Przechodzę przez otwartą bramę z drutu kolczastego, dalej prowadzi prosta droga. Tam czeka matka, na pewno jest blisko. Słyszę szczyknięcie metalu.

– Zostaw, szkoda kuli. Daleko nie zajdzie.

Nie mam pojęcia, skąd to wie, ale ma rację. Nogi odmawiają posłuszeństwa, muszę chwilę odpocząć.

– Ściągnij kogoś, niech ją spalą. Zanim kogoś zarazi.

Przysiadam na skraju drogi, próbuję uśmiechnąć się do żołnierzy w bramie. Tym razem udało się, odślaniam w uśmiechu zęby. Wiem, że robię wrażenie na mężczyznach; jeśli będą mili, zgodzę się pójść z jednym z nich. Byłbym czym zapłacić za hotel, potem może mnie odwieźć do domu. Zamykam powieki, poddaję się grzejącemu słońcu.

Nade mną jasnym światłem pali się lampa, za nią widać sufit z desek. Nie wiem, gdzie jestem, nie rozumiem

zmieszanych głosów, w które wplata się czyjś rozpaczliwy jęk i rżenie. Chciałabym wstać, lecz brakuje mi siły, aby się poruszyć. Ciało jest rozpalone, mam gorączkę. Jestem chora, to z pewnością jest szpital.

Próbuję sobie przypomnieć, w jakim znajduję się kraju. Nie Francja i nie Anglia, bo głosy mówią po polsku i niemiecku. Nadal nie mogę ich pojąć, jakbym straciła umiejętność rozróżniania słów i znaczeń. Może uległam wypadkowi i mam uszkodzony mózg? Ta myśl przychodzi z oddali i znika, nie jest niepokojąca. Cała jestem z oddali, ciało nie jest moje, umysł też wydaje się obcy. To dziwne, ale przyjemne uczucie, uwolnić się od siebie. Gdybym nie była tak słaba, roześmiałabym się na głos.

Bardzo chce mi się pić, muszę poprosić o wodę. Odwracam w bok głowę. W głębi pomieszczenia tłoczą się postacie w pasiakach. To kobiety, wydają z siebie dźwięki przypominające cichy płacz, pomiędzy nimi kręci się lekarka w białym kitlu. Na szczęście nie muszę tkwić w tym tłumie, nie dałabym rady.

Przekręcam głowę w drugą stronę. Na stole obok leży kobieta, jej wielkie oczy wpatrzone są w przestrzeń. Jest bardzo chuda, ubranie ma brudne i cuchnące. Co to za szpital, w którym przyjmują takie pacjentki? Nie powinienam leżeć na tej samej sali, porozmawiam o tym z lekarzem. Pojawiają się dwaj pielęgniarze w poplamionych kitlach, wnoszą kobietę poza moje pole widzenia. Przekręcam szyję, odprowadzam ich wzrokiem. Kobieta zostaje położona na metalowym blacie, który oświetla mocna lampa. Pielęgniarski rozchyła bluzę na jej piersi, potem przytrzymuje ją oburącz.

Z boku zjawia się wysoki lekarz w białym kitlu włożonym na mundur. Ma inteligentną twarz, okulary w metalowej oprawie, gumowe rękawice na rękach. Trzyma dużą strzykawkę wypełnioną niebieskawym płynem, z długą igłą. Przykłada igłę do piersi kobiety, mocnym ruchem wbija głęboko i wciska płyn ze strzykawki. Kobieta

wypręża się, wydaje bolesny jęk, który zmienia się w rżenie, dygocze i sinieje; pielęgniarze przytrzymują, czekają, aż się uspokoi. Po kilku sekundach ciało kobiety staje się bezwładne, pielęgniarze podnoszą ją i wychodzą.

Drastyczna metoda leczenia, ale gotowa jestem poddać się temu zabiegowi, jeśli zasnę jak ta kobieta i obudzę się silniejsza. Powinnam wyrazić zgodę, podpisać jakiś papier? Wracają dwaj pielęgniarze, chwytają mnie pod pachy i kolana, podnoszą i układają na metalowym stole. Mrużę oczy przed światłem lampy.

Pojawia się twarz lekarza, który przygląda się uważnie. Ma mądre oczy, z pewnością wie, co mi dolega i jak to wyleczyć. Uśmiecham się z wdzięcznością. Odpowiada lekkim uśmiechem i wyciąga w bok rękę. Kątem oka widzę, że ktoś podaje mu strzykawkę. Lekarz nadal patrzy na mnie, z pewnością działa na niego moja uroda, nie uważnie odbiera strzykawkę, upuszcza ją. Głośny brzęk tłuczonego szkła, lekarz przeklina po niemiecku. Odpowiada mu przestraszony głos pielęgniarza.

Na miejscu pielęgniarza też bym się bała, niebieskawy lek z pewnością nie jest tani. Czekam cierpliwie, aż posprzątają szkło i napełnią następną strzykawkę. Lekarz nie przestaje krzyczeć, zaczynam rozumieć słowa i zdania. Okazuje się, że porcja medykamentu zwanego fenolem była ostatnia, następna dostawa spodziewana jest nazajutrz. To irytujące, że będę tak długo czekała na zabieg. Chcę zaprotestować, poskarżę się dyrekcji szpitala.

– Do gazu z nią! – mówi lekarz.

O co mu chodzi? Fragmenty zasłyszanych znaczeń przebijają się do pamięci, ogarnia mnie niezrozumiały lęk. Słyszałam o gazie, nazwę fenol też znam, ale nadal nie wiem, co oznaczają. Ręce pielęgniarzy chwytają za ramiona i nogi.

– Wezmę ją do siebie – mówi z boku kobiety głos.

– Po co? – pyta suchym tonem lekarz. – Nie pociągnie do jutra.

– Najgorsze ma za sobą – nalega kobieta i podchodzi. – Będzie mogła wrócić do pracy, komendant domaga się robotnic do rozbudowy obozu.

To lekarka w białym kitlu. Ma okrągłą twarz, czterdzieści parę lat, mówi po niemiecku z polskim akcentem. Lekarz zapala papierosa, odsuwa się poza światło lampy.

– Weź ją sobie! – rzuca, wydmuchując dym.

Pielęgniarze podnoszą mnie, kładą na napiętym materiale na podłodze, potem znowu jadę do góry. Mijam lekarza, który patrzy obojętnie. Pomimo lęku mam do niego pretensję, że nie zajął się mną jak powinien.

Wychodzimy na dwór, kobieta idzie obok.

– Nie martw się, będziesz zdrowa – mówi spokojnym głosem i uśmiecha się.

Nie mam do niej zaufania, chcę odpowiedzieć, żeby się odczepiła. Jestem jednak zmęczona, wszystko mi jedno, gdzie mnie zabiorą, byle pozwolili wreszcie pospać. Zamykam oczy, kołyszą mnie miarowe kroki pielęgniarzy.

Łódź płynie w stronę wysokich skał, unosi się i opada na falach. Karl wiośluje powoli, mruży oczy, uśmiecha się, w kącie ust trzyma nonszalancko papierosa. Toczy się między nami dziwna gra. Byłam bliska, aby się w nim zakochać, ale przekonał mnie, że uczucie przeszkodzi nam w pracy. Domyślałam się dlaczego: Karl stałby się zazdrosny o seks z klientami. Nie jestem mu obojętna, ale broni się przed uczuciem, nie chce się przyznać, że od dawna mnie kocha.

Bawię się, prowokuję Karla. Kiedy klient jest przystojny, opowiadam o moich przeżyciach, przesadzam z seksualnymi doznaniem. Karl udaje, że jest mu to obojętne, a ja wiem, że cierpi. Staje się potem brutalny w łóżku, karze mnie. Gra się przeciaga, zaszła za daleko, jest niebezpieczna.

Naga, wyciągnięta leniwie, z przymkniętymi powiekami, udaję, że nie widzę wzroku Karla. Mam jasną karnację, słońce piecze i rani skórę, przerzucam nogi przez burtę i zanurzam się w chłodnej, szmaragdowej wodzie.

Do stóp podpływają zaciekawione ryby z czerwonymi grzbietami, szczypią lekko pyszczkami. Jest ich coraz więcej, stają się natarczywe, chwytają za skórę ostrymi zębami, ciało przenika ból. Przestraszona wyciągam ręce do Karla, ale on siedzi nieruchomy, patrzy z uśmiechem. Pozwoli, abym została żywcem pożarta.

Budzę się z jękiem, widzę pochylone nade mną twarze. Jestem rozebrana, siedzę zanurzona do pasa w ciepłej wodzie, która wypełnia metalową balię. Dwie kobiety w pasiakach szorują mnie gąbkami, zmywają śmierdzące mydliny, ich dotknięcia sprawiają ból. Dookoła wystają z prycz ogolone głowy, patrzą zapadnięte oczy w wychudzonych twarzach. Kilka kroków od balii stoi lekarka.

– Jak się czujesz? – pyta.

Gardło i krtań są zatkane, muszę odchrząknąć, spluwam na podłogę gęstą flegmą.

– Zachowuj się! – beszta jedna z myjących kobiet.

Krzywię się pod dotknięciem jej gąbki.

– Nie tak mocno – proszę zachrypniętym, obcym głosem.

– Musiałśmy cię wykapać – wtrąca się lekarka. – Chorowałaś cały miesiąc.

No tak, chorowałam, pamiętam. Patrzę na nogi, ramiona i brzuch, wzdrygam się z przestachu i obrzydzenia. Naciągnięta na kościach skóra jest szara, popękana i pokryta bliznami po wrzodach, brzuch wydęty i siny.

– To nic – mówi lekarka. – Dojdiesz do siebie. Musisz zacząć jeść, rozumiesz?

Kiwam głową bez przekonania.

– Tak – odpowiadam cicho.

Wraca dławiący strach. Wiem już, gdzie jestem, Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau. Nie czuję wdzięczności do lekarki. Po co mnie wyleczyła? Abym została odesłana do pracy, która zabija? Tyfus nie był zły; odeszłabym, nie wiedząc kiedy, bez lęku.

Lekarka rozumie, co chcę powiedzieć, zwraca się do kobiet.

– Ubierzcie ją i zaprowadźcie na pryczę. Niech odpoczywa.

Odwraca się i odchodzi między pryczami.

Śpię, cały czas śpię. W krótkich przerwach między snami przeżykam wstrętne zupy, którymi mnie karmią, potem znów zasypiam. Nic nie ważę, jestem lekka, wolna od ciała i myśli. W snach fruвам nad ziemią, widzę z wysoka baraki, wynędzniałe tłumy kobiet i mężczyzn, esesmanów, kapo, psy.

Frunę jeszcze wyżej, w stronę nieba, rozglądam się w poszukiwaniu księżycy. Nie pojawia się, choć to jego czas. Być może on też się boi albo został rozstrzelany za jakieś przewinienie. Zbyt wiele widział, przedostał się za druty bez pozwolenia. Okazało się, że ma nieryjskie pochodzenie. Wycelowano w niebo wielką armatę i zestrzelono księżyc, kiedy nieostroźnie wychynał zza horyzontu; nie będzie świadkiem następnych pokoleń niewolników.

Frunę dalej, do minionych dni. To moja nowa umiejętność, pozbawiona ciężaru potrafię przelatywać we wszystkie strony czasu, w przeszłość i przyszłość. Zasiadam do stołu, na którym wuj zapala pierwszą z ośmiu świec. Niezwykła, uroczysta chwila. Mam siedem lat, obok siedzi mama, dalej jej trzy kuzynki, ich mężowie i dzieci. Ojca nie ma, zrobił mamie awanturę o złamanie obietnicy i wyszedł z domu. Według słów ojca, mama przed ślubem przyrzekła, że nie będzie obchodzić swoich świąt. Kilka razy w roku tak się kłóca, odkąd pamiętam.

Po zapaleniu świecy wuj recytuje skupiony:

– *Baruch Ata Adonai, Eloheinu melech haolam, aszer kidszanu bemicwotaw, weciwanu lehadlik ner szel Chanuka. Baruch Ata Adonai, Eloheinu melech haolam, szeasa nisim laawoteinu, bajamim hahem bazeman hazeh. Baruch Ata Adonai, Eloheinu*

*melech haolam, szechehejanu, wekijemanu, wehigijanu laze-
man hazeh**.

Odczuwam dumę i czekam niecierpliwie na moją chwilę. Zostanę zapytana o święto Chanuki, jestem dobrze przygotowana. Opowiem o powstaniu dzielnych Machabeuszów, którzy pod dowództwem Judy pokonali złego króla Antiocha, uwolnili Jerozolimę i odzyskali naszą Świątynię. I o cudzie palenia się przez osiem dni ofiarnej oliwy, choć powinna wystarczyć na jeden dzień. To był dowód, jak wielki jest nasz naród, wybrany został przez Boga i trwać będzie wiecznie w chwale. Po kolacji my, dzieci, pójdziemy się bawić, dostaniemy cukierki z miodem i sezamem. Cukierki zabiorę do obozu, poczęstuję chore na tyfus i czerwonkę więźniarki z mojego baraku. Na pewno nie jadły czegoś równie wspaniałego.

Z bliska widzę tę samą dziewczynę, która karmiła mnie zupą. Teraz pamiętam, to Magdalena, znowu ma na sobie granatowy kombinezon. Obudzona z ciężkiego snu nie mam siły zapytać, skąd to ubranie. Ona mówi szybko, jest podniecona, uśmiecha się i płacze jednocześnie.

– Pracuję w Kanadzie, pod dachem. Luba załatwiła.

Jestem wdzięczna, że przyjechała do mnie z tak daleka.

– Nabierzesz sił i też pójdiesz do Kanady – ciągnie Magdalena. – Zmuszę Lubę, żeby to załatwiła.

Zgadzam się, kiwam głową. Mogę popłynąć do Kanady, teraz chcę znowu zasnąć. Magdalena nie daje mi spokoju, mówi z naciskiem:

– Ale musisz jeść! Doktor Michalska twierdzi, że odmawiasz jedzenia.

– Zjadłam chanukową kolację – odpowiadam z trudem.

* Błogosławiony jesteś ty, Haszem, nasz Bóg, król świata, który uświęcił nas swoimi przykazaniami i nakazał nam zapalać światła chanukowe. Błogosławiony jesteś ty, Haszem, nasz Bóg, król świata, który uczynił cuda dla naszych ojców, w tamtych dniach, o tej porze. Błogosławiony jesteś ty, Haszem, nasz Bóg, król świata, który dał nam dożyć i utrzymywał nas, i doprowadził nas do tego czasu.

Dziewczyna nie rozumie, marszczy brwi.

– Jaka? – pyta.

Na pryczy obok przekręca się starsza kobieta, patrzy na mnie ze zdziwieniem i niepokojem. Nie mam sił ani ochoty tłumaczyć, na czym polega Chanuka, zamykam oczy.

Jest półmrok. Świt albo zmierzch. Na sąsiedniej pryczy trzy kobiety pochylają się nad kawałkiem papieru. Podniecone, mówią szybko, po cichu. Są chore na tyfus, gorączkują, jedna z nich przysuwa się, podtyka mi pod oczy papier. Patrząc na kawałek niemieckiej gazety.

– Masz, czytaj, to gazeta sprzed miesiąca. Amerykanie zajmują już Włochy. Rosjanie przekroczyli granicę Polski. Wyzwolą nas, wyzwolą, niedługo nas wyzwolą!

Potakuję posłusznie, nie jestem w stanie podzielać ich radości. Byliśmy z Karlem we Włoszech, na Sycylii, nie ma tam nic ciekawego. Zaprosił nas Amerykanin, który stamtąd wyemigrował i został bogaczem w Stanach. Miał być naszym klientem, ale kiedy Karl się zjawił, żeby zrobić zdjęcia, wyjaśnił, że jest bossem mafijnej rodziny i źle byśmy skończyli, próbując go szantażować. Nie kazał nas zabić, bo miał do mnie słabość; zaprosił nas do Palermo, na Sycylię. Byłam jego kochanką przez dwa tygodnie, potem zaproponował, abym pojechała z nim do Chicago. Nie zdecydowałam się zostawić Karla; byłabym teraz bogatą Amerykanką.

Zdaję sobie sprawę, że opowiadam tę historię na głos, trzem kobietom. Słuchają z ciekawością, niewiele rozumieją. Osłabienie sprawiło, że mówiłam z przerwami, nie wyjaśniłam, na czym polegały nasze szantaże.

– Rosjanie przegrywają – czytam z kawałka gazety. – Zwycięska armia niemiecka odbija Mińsk.

Jedna z kobiet kręci głową przecząco, jej oczy się świecą, na policzkach ma czerwone wypieki.

– Trzeba umieć czytać – mówi z naciskiem. – Niemcy cofnęli się już do Polski, to jakim cudem zwyciężają pod Mińskiem?

Pozostałe dwie potakują z przekonaniem.

– Tak, dobrze – zgadzam się.

Nie powiem im, co myślę. Nic nie pokona Niemców, zło zawsze jest potężniejsze. Chyba że Rosjanie to jeszcze większe zło. Nic o tym nie wiem, nie interesowałam się polityką, dlatego popełniłam błąd, wyjeżdżając z Anglii. Co się teraz dzieje z Tomem Bettingtonem, czy czeka na mnie? Bawi mnie myśl, że Tom umarłby na zawał, gdyby nagle został tu przeniesiony. A ja żyję, jestem twardsza od śmierci. Chcę mieć tylko spokój.

Noc, w oddali słyszę pohukującą sowę. Karl patrzy na mnie z troską i lękiem. Jest chudy, nie tak przystojny jak kiedyś. Z boku dobiegają niespokojne oddechy i jęki, powietrze jest cuchnące. Żaden z hoteli, w którym zatrzymywaliśmy się, nie był tak kiepski. Straciliśmy pieniądze i mieszkamy w przytułku?

– Elizo, proszę cię, proszę – mówi Karl po niemiecku.

Jego dłoń głaszcząc mój policzek, oczy patrzą błagalnie. O co mu chodzi?

– Musisz jeść, bo umrzesz – ciągnie.

Przypominam sobie. Barak z chorymi, umierającymi kobietami, obóz. Za Karlem staje krępa kobieta z szeroką twarzą. Ją też pamiętam, na imię ma Luba.

– Dość, trzeba iść – mówi po niemiecku ze śpiewnym akcentem.

Karl nie rusza się, patrzy na mnie z bólem w oczach. Luba chwyta go za ramię, popycha.

– *Idy uže!** – rzuca z groźbą w głosie.

Karl wsuwa pod siennik małą paczuszkę, pochyla się, całuje mnie w oba policzki.

– Obiecuj, że zjesz – szepcze. – Kocham cię, zawsze cię kochałem.

– Tak – odpowiadam.

* Idź już!

Odchodzi, ogląda się za siebie. Co mi po jego miłości? Gdyby był mężczyzną, jakiego potrzebuję, wziąłby mnie na ręce i zabrał stąd. Dlatego go opuściłam w Biarritz, wy czułam w nim słabość. Tom Bettington mnie uwolni, przyjedzie z Rosjanami. Luba stoi jeszcze przy mnie.

– Żryj – mówi groźnie. – *Magdalena tebe potrzebuje**.

Odwraca się i oddala między pryzmami.

* Magdalena cię potrzebuje.